

Była alternatywa

Z prof. Grzegorzem W. Kołodko rozmawia Michał Sobczyk

Reformy rynkowe realizowane w Polsce przed 1989 rokiem budzą skrajnie różne opinie – od takiej, że ich kontynuowanie bez zmiany władzy politycznej mogłoby ostatecznie doprowadzić do modelu bliższego społecznej gospodarce rynkowej, po taką, że stanowiły początek budowania nadwiślańskiej wersji neoliberalizmu, w warunkach sprzyjających różnego rodzaju nadużyciom (słabość instytucji gospodarczych, brak przejrzystości życia publicznego itp.)

Grzegorz W. Kołodko: Reformy poprzedzające lata 90. nie powiodły się, gdyż nie udało się wyeliminować podstawowego schorzenia tamtej fazy gospodarki socjalistycznej, którym był syndrom inflacji cenowo-zasobowej, jak to określiłem w anglojęzycznej literaturze ekonomicznej – *shortageflation*. Z jednej strony nasilało się tempo inflacji cenowej, z drugiej pogłębiały się niedobory, co zarówno niszczyło konkurencyjność przedsiębiorstw, jak i utrudniało funkcjonowanie gospodarstw domowych, przyczyniając się do obniżania ogólnego poziomu efektywności ekonomicznej i satysfakcji ludzi ze wzrostu gospodarczego, który przecież miał miejsce. Pomimo reform gospodarka była coraz bardziej niezrównoważona.

Ale trzeba to widzieć w szerszym kontekście; rzeczy działały się tak, jak się działy, gdyż wiele działało się naraz. Na determinację polskich kręgów przywódczych, by wprowadzić pewne rozwiązania instytucjonalne zmierzające do uelastycznienia gospodarki oraz demokratyzacji, nakładało się działanie sił zewnętrznych: nabierającej rozpędu globalizacji, rywalizacji międzysystemowej, kolejnej fazy rewolucji naukowo-technicznej. Koniec końców tamten system bardziej sam upadł, niż został obalony. Na tym tle wręcz żalodne są wywody typu: przeskoczyłem przez płot i obaliłem komunizm albo przypisywanie jakiejś niebywałej roli ówczesnemu konserwatywnemu prezydentowi USA, Ronaldowi Reaganowi.

Procesy gospodarcze i społeczno-polityczne zachodzące wtedy w Polsce skutkowały rosnącym brakiem satysfakcji ludzi w ich trzech rolach społecznych. Byli oni coraz mniej zadowoli, a potem coraz bardziej niezadowoleni jako producenci, widząc dość marne efekty wysiłku wkładanego przez nich w pracę. Narastało ich niezadowolenie jako konsumentów, bo coraz większej części swoich dochodów nie byli w stanie zrealizować z powodu nasilających się niedoborów rynkowych. Wreszcie obniżała się ich satysfakcja jako obywateli, gdyż pomimo prób częściowej demokratyzacji nie działały skuteczne mechanizmy wyrażania *vox populi*.

Dlatego też nie sądzę, aby można było zwieńczyć powodzeniem tamte reformy i stworzyć z czasem społeczną gospodarkę rynkową w ówczesnym kontekście międzynarodowym. Z drugiej strony, niektórzy przytaczają jako pozytywne przykłady to, co działo i dzieje się w Chinach oraz, w jakimś stopniu, w Wietnamie. Choć panują tam inne realia kulturowe i geopolityczne, eksperyment chiński pokazuje, że jeśli jest determinacja władz i korzystnie układają się określone uwarunkowania polityczne, z reformami gospodarczymi w ramach takiego systemu można zajść zdecydowanie dalej, niż udało się to w Europie Środkowo-Wschodniej. No, ale cenę za to jest odkładanie reform politycznych, których czas tam dopiero nadchodzi.

Co miało decydujące znaczenie dla przyjęcia po 1989 roku neoliberalnego kursu reform? Mówi się często o naiwnym zauroczeniu modelem amerykańskim, ale także o znacznie bardziej przyziemnych przyczynach. W swojej najnowszej książce „Wędrujący świat” wspomina Pan np. o lobbingu krajów zachodnich, związanym m. in. z faktem posiadania przez nie sporych zasobów „luźnego” kapitału.

G. W. K.: W książce szeroko opisują kompleks uwarunkowań zewnętrznych i wewnętrznych, które łącznie zadecydowały, że procesy potoczyły się tak, a nie inaczej. Gdy rozpoczynały się wspomniane reformy, Japonia coraz bardziej wkiłała się w strukturalny kryzys gospodarczy, a bliższe nam geograficznie Niemcy zająć musiały się przede wszystkim zjednoczeniem, czyli w praktyce wchłonięciem pięciu wschodnich landów przez gospodarkę i państwo zachodniemieckie. Siła przebiccia państw skandynawskich, z ich modelem społecznej gospodarki rynkowej, była stosunkowo niewielka. Tak się złożyło, że wraz z rozpadającym się Związkiem Radzieckim, Stany Zjednoczone dosyć niespodziewanie (nawet dla siebie) wyrosły na jedyne światowe super-hegemon. Tak się również złożyło, że akurat wtedy, wskutek stagflacji narosłej w latach 70. i 80., po kryzysie energetycznym i pewnych błędach w amerykańskiej polityce gospodarczej, doszło do zmęczenia nieskutecznymi terapiami ekonomicznymi związanymi z doktryną keynesowską.

Było to niezłą pożywką dla jakiejś alternatywnej koncepcji, którą okazał się od strony teoretycznej – monetaryzm, a politycznej – neoliberalizm, żerujący na wartościach liberalnych, takich jak wolność, demokracja, przedsiębiorczość, konkurencja, prywatna własność, po to, by kosztem większości poprawiać sytuację materialną wąskiego kręgu elit, i tak już wysforowanych finansowo do przodu w dziejowym procesie rozwoju. To się kryło za zbitką pojęciową reaganomiki, a w przypadku Wielkiej Brytanii za oszukańczym thatcherowskim TINA - *there is no alternative*.

Oczywiście, że tzw. alternatywa, czyli odmienna opcja istniała – także w Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii, nie mówiąc już o mniej rozwiniętych krajach dążących do emancypacji gospodarczej – ale skoro państwa anglosaskie poszły kursem neoliberalnym i miały określoną pozycję międzynarodową, skoro w tym samym czasie powstały ogromne nadwyżki kapitału finansowego, który szukał sposobów na opłacalne zainwestowanie w innych regionach coraz bardziej integrującej się gospodarki światowej, skierowano wzrok także w naszą stronę, no bo mieliśmy stać się *emerging markets*, czyli wyłaniającymi się rynkami, traktowanymi instrumentalnie przez neoliberalizm i związane z nim grupy interesu. A my szukaliśmy zarówno kapitału, jak i porady, co robić.

Amerykanie zaferowali nam je w pakiecie.

G. W. K.: Rady były zawsze dodawane do pożyczanych pieniędzy, ponadto stosowanie się do nich było warunkiem anulowania części polskiego zadłużenia zagranicznego. Wywodziły się one z doktryny neoliberalnej, wiązały z koncepcją tzw. konsensusu waszyngtońskiego, która także legła u podstaw działalności Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego, dwóch znaczących bardzo wiele naówczas organizacji międzynarodowych, w istocie manipulowanych przez politykę i administrację amerykańską. Doktryna ta odegrała wielką rolę w krajach od tego momentu nazywanych pokomunistycznymi.

Nie da się jednak wszystkiego zwać na uwikłania zewnętrzne. Neoliberalne reformy wymagały znalezienia partnerów w Polsce – ideologów, polityków i ekonomistów, uzasadniających pozorną wyższość tej doktryny. Wobec tego Amerykanie wyjęli z kapelusza królika i „wymyślili” Jeffreya Sachsa, harvardzkiego profesora, a polski snobizm jest tak wielki, że już to starczało, by "mieć rację"... Polacy zaś znaleźli odpowiedniego ministra finansów do rządu Premiera Mazowieckiego. I tak zrodził się tzw. plan Sachsa-Balcerowicza.

Niestety, przy całym zamęcie i szumach informacyjnych tamtego okresu i przy fundamentalnym niezrozumieniu, do czego ten plan będzie prowadził, pomimo ostrzeżeń zyskał on jeśli nie poparcie, to przyzwolenie większości społeczeństwa. A gdy już się ta większość zorientowała, że niekoniecznie służy on jej interesom, lecz realizowany jest jej kosztem, było za późno. Stosowano cały czas politykę faktów dokonanych, także w Polsce

powtarzając bezsensowne thatcherowskie „nie ma alternatywy”. A wtedy można było jeszcze próbować pójść drogą budowania społecznej gospodarki rynkowej, na wzór skandynawski. Taką próbę podjęto dopiero po 1993 roku, kiedy przyszło mi koordynować politykę społeczno-gospodarczą w ramach „Strategii dla Polski”.

W pierwszych latach po 1989 roku reformy gospodarcze miały radykalny charakter – przykładem może być polityka walutowa czy kredytowa. Uzasadniano to koniecznością przeprowadzenia „terapii szokowej”, niezbędnej jakoby do postawienia naszej gospodarki na nogi. Zanim uzyskał Pan możliwość praktycznego wcielania w życie innej wizji reform, punktował Pan błędy architektów transformacji jako naukowiec, a także jako członek Rady Ekonomicznej Rady Ministrów w latach 1989-91. Pana prace z tamtego okresu znane są na całym świecie.

G. W. K.: Można wyróżnić dwie główne kategorie błędów ówczesnej polityki gospodarczej, którą nie bez powodu nazywam „szokiem bez terapii”. Pierwsza z nich to niedocenianie instytucjonalnych aspektów budowy gospodarki rynkowej. Składają się na nią bowiem przede wszystkim instytucje, a więc „reguły gry”, a nie tylko prywatyzacja i liberalizacja, jak to widziano i próbowano narzucać w ramach doktryny neoliberalnej. Bardzo łatwo niszczy się instytucje gospodarki centralnie planowanej; i to udało się szybko – jak kto chce, „szokowo” – zrobić. Nie było już Komisji Planowania, administracyjnego stanowienia cen, natomiast by w to miejsce pojawił się sprawnie funkcjonujący rynek kapitałowy, bankowość inwestycyjna, giełda – to wymaga wielu lat olbrzymiego wysiłku. Wobec tego pewne zmiany należało rozłożyć w czasie i ułożyć je w innej sekwencji. Nie chodzi o to, że należało coś robić szybciej albo wolniej, tylko że trzeba to było zrobić inaczej, lepiej. Dziś przyznają to nawet niektórzy zwolennicy tamtej polityki.

Po drugie, ewidentnie „przestrzelono” politykę stabilizacyjną. Retroaktywnie obciążono stare kredyty zbyt wyśrubowanymi stopami procentowymi; nadmiernie zdewaluowano złotego, by następnie zbyt długo – przez ponad 16 miesięcy! – utrzymywać jego sztywny kurs; zbyt daleko poszła liberalizacja handlu, z czego sam rząd po części wycofywał się już w latach 1991-92; na zbyt wysokim, restrykcyjnym poziomie ustawiono tzw. gilotynę płacową w postaci sławnego naonczas popiwku, który był jednym z instrumentów motywowanej ideologicznie dyskryminacji sektora państwowego i miał jeszcze bardziej zrażać pracowników do własności państwowej, by w ten sposób przyspieszać prywatyzację. Czyniono tak nie po to, by poprawiać mikroekonomiczną efektywność i konkurencyjność przedsiębiorstw, tylko dlatego, że jeśli ktoś szybko sprzedaje, to tanio sprzedaje. No a wtedy ktoś tanio kupuje. Wtedy też zaimportowano kolejną koncepcję, tzw. strategicznych inwestorów, którymi w obliczu niedostatku kapitału w kraju najczęściej byli inwestorzy zagraniczni.

Do tego wszystkiego dochodzi zlekceważenie społecznego wymiaru transformacji i ewidentne niedoszacowanie kosztów zastosowania takiej pseudoterapii.

Zapowiadano, że bezrobocie obejmie nie więcej niż 400 tys. osób.

G. W. K.: Po trzech latach przekraczało już 3 miliony osób. Produkcja miała spadać tylko przez rok, o około 3 procent, potem miała wzrosnąć. Tymczasem od połowy 1989 do połowy 1992 roku spadła aż o 20 procent. Skala załamania była dużo większa niż ta niemożliwa do uniknięcia, a korzyści dużo mniejsze niż te możliwe do osiągnięcia.

Jeśli dzisiaj ktoś powiada, że głębokość transformacyjnej recesji była w Polsce mniejsza niż w jakimkolwiek innym kraju regionu, to jest to faktem. Ale od razu i wyraźnie wypada podkreślić, że stało się tak nie w następstwie skuteczności neoliberalnej polityki – bo

ta była ewidentnie szkodliwa – lecz dzięki wspomnianym wcześniej reformom rynkowym, liberalizującym po części gospodarkę w latach 80. Polska na przełomie lat 80. i 90. – jak dowodzi tego m. in. profesor Monika Bąk z Uniwersytetu Gdańskiego – miała obok Węgier najbardziej dogodne warunki dla transformacji do pełnokrwistej gospodarki rynkowej. Byliśmy w największym stopniu otwarci, zliberalizowani, o pewnych przyczółkach instytucjonalnych, mieliśmy zupełnie niezłe kadry menedżerskie, ekonomistów, finansistów. Sektor prywatny już wtedy dawał piątą część całej produkcji. Niestety, oparto politykę gospodarczą na błędnej doktrynie ekonomicznej, na neoliberalizmie. Nadrzędne cele przyświecające tej polityce nie zawsze były tożsame z interesami polskiego społeczeństwa i gospodarki narodowej. Mylono środki polityki z jej celami. Takie błędy musiały mieć swoją cenę.

Błędy popełnione podczas transformacji to także niewykorzystane szanse. Jakie potencjalne atuty zlekceważono? W swojej nowej książce sporo uwagi poświęca Pan znaczeniu kultury dla rozwoju gospodarczego. Czy neoliberalne rządy w jakikolwiek sposób starały się zaadaptować model reform do lokalnych warunków, np. wykorzystać doświadczenia istniejących namiastek demokracji przemysłowej?

G. W. K.: Koncepcje bazujące na samorządzie pracowniczym zostały dosyć szybko odstawione do lamusa historii, pod ewidentnym wpływem nacisku ze strony nurtu neoliberalnego. Ale to nie znaczy, że nie dostosowywano reform do panujących realiów. Uczyli się wszyscy – także ci, którzy popełniali błędy. Już w tamtych czasach podkreślałem, że pewien zwrot, utożsamiany z osobą Jacka Kuronia, który w pewnym momencie widząc nędzę „szoku bez terapii”, wyszedł z koncepcją „Paktu o przedsiębiorstwie”, był kierunkowo dobrą próbą uspołecznienia procesu transformacji, ponownego upodmiotowienia ludzi pracy zamiast dalszego podporządkowywania większości potrzebom i oczekiwaniom ludzi kapitału, których w Polsce wtedy jeszcze nie starczało, a za granicą było ich aż za dużo. Ci drudzy traktowali nas w kategoriach "wyłaniającego się" rynku, gdzie można tanio kupić i drożej sprzedać, osiągając spekulacyjne zyski, a nie jako wyłaniającą się społeczną gospodarkę rynkową.

Nacisk ze strony ruchu związkowego, tych, którzy wskutek realizowania neoliberalnej doktryny tracili zdecydowanie więcej, niż im to, omamiając ich, zapowiadano, powodował, że następowały pewne przewartościowania. Cały czas ścierały się różne koncepcje: czy pójść w kierunku Polski samorządnej, własności pracowniczej, systemu bardziej partycypacyjnego, czy też w kierunku kapitalizmu totalnie wolnorynkowego, z jak najmniejszą ingerencją państwa oraz zmniejszania jego funkcji redystrybucyjnych i tworzenia mechanizmów bliższych darwinizmowi społecznemu.

Niestety, na początku lat 90. wskutek specyficznego zbiegu okoliczności politycznych, kulturowych i ekonomicznych górę brała formuła neoliberalna, co oczywiście wymagało spacyfikowania ruchu związkowego, który część elit „Solidarności” wyniósł do władzy. Był to kolejny paradoks historii, a mechanizm tego oszukańczego zabiegu – zupełnie co innego ludziom obiecywano, niż im dostarczono – znakomicie, w sposób bezkompromisowy opisuje w swojej książce „Kłęska »Solidarności«” David Ost. Co ciekawe, człowiek obserwujący to z zewnątrz, a więc bardziej chłodny i obiektywny w spojrzeniu niż miejscowi komentatorzy.

Kiedy w 1993 roku został Pan sternikiem polskiej gospodarki, postawił Pan sobie za cel zmianę kursu przemian.

G. W. K.: Kontynuowane były wszystkie słuszne posunięcia rozpoczęte w okresie, który

nazywam „szokiem bez terapii”. I te wcześniejsze, jeszcze z czasów reformowania gospodarki socjalistycznej także. Nie jest bowiem tak, że wszystkie albo przytłaczająca część posunięć w ramach tamtej doktryny, były błędne. Nie – jakby to policzyć tak „na sztuki”, to może i więcej było tych słusznych. Rzecz nie polega jednak na tym, żeby właściwych posunięć było wiele, ale żeby cały ich kompleks był prawidłowy, żeby całościowa strategia miała sens. Czasami wystarczy dodać, jak powiada polskie przysłowie, łyżkę dziegiu do beczki miodu i mamy wszystko niestrawne.

Pierwszą zasadniczą cechą mojej strategii, prawdziwej „terapii bez szoku”, było podejście kompleksowe, włączanie do wnioskowania politycznego zarówno wątków stricte finansowo-ekonomicznych, jak i tych społecznych oraz kulturowych. Była to próba ponownego upodmiotowienia człowieka i nie mylenia celu ze środkami, czym tak bardzo grzeszy neoliberalizm. Nigdy nie głosiłem fanaberii w rodzaju twierdzenia, że niska inflacja jest nadrzędnym celem polityki gospodarczej, choć zawsze tej inflacji staraliśmy się przeciwdziałać. W latach realizacji „Strategii dla Polski” stopa inflacji spadła o 2/3, z 37 do 13 procent, a jednocześnie bezrobocie zmniejszyło się o 1/3, z ponad 3 poniżej 2 milionów osób. Więcej ludzi do Polski wracało z zagranicy, niż z jej wyjeżdżało, bo na tle boomu gospodarczego – PKB na głowę przecież skoczył w latach 1994-97 aż o 28 procent! – wiało optymizmem. A to się czasami bardziej liczy niż doraźny poziom produkcji i konsumpcji. Tak więc jeśli się wie, jak to zrobić, można jednocześnie obniżyć stopę inflacji i stopę bezrobocia, choć zgodnie z tradycyjnym myśleniem neoliberalnym zrobić się tego podobno nie da.

Inaczej także podeszliśmy do zmian mikroekonomicznych, w tym prywatyzacji, którą postrzegaliśmy nie jako ideologicznie motywowany cel nadrzędny, lecz jako instrument poprawy efektywności. Jeśli ta czy inna gazeta i apologeci neoliberalizmu wówczas wykrzykiwali, że oto hamujemy prywatyzację, to zawsze spokojnie odpowiadałem: nie, my ją racjonalizujemy. Rzecz ze sprzedawaniem majątku państwowego nie polega na tym, żeby robić to szybko, lecz efektywnie, co mierzy się dwoma kryteriami: wielkością wpływów do budżetu państwa (które z tego tytułu były coraz większe, bo sprzedawaliśmy najdrożej, jak to było możliwe) oraz poprawą efektywności i jakości zarządzania w sprywatyzowanych przedsiębiorstwach. Po co prywatyzować, jeśli potem miałyby nie być poprawy jakości zarządzania, po co sprzedawać taniej, jeśli można sprzedać drożej? Warto przypomnieć, że jeśli któryś z banków był wówczas prywatyzowany – czy to Bank Gdański, czy Bank Przemysłowo-Handlowy w Krakowie – to później, gdy były one już kwotowane na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych, ich cena minimalnie albo wcale nie różniła się od tej, którą Skarb Państwa wziął za prywatyzowanie tamtych aktywów. Wtedy prywatyzowano nie „na czas”, ale na korzyść polskiego społeczeństwa.

Tych elementów mikro- i makroekonomicznych, które ułożyły się w zupełnie inną jakościowo, lepszą wiązkę polityki, było wiele. Szeroko opisuję to w kilku swoich książkach, jak „Kwadratura pięciokąta”, „Polska alternatywa”, „Od szoku do terapii”, „O naprawie naszych finansów” czy „Globalizacja i perspektywy rozwoju krajów posocjalistycznych”. Wszystkie one, a także wiele innych – łącznie 26 pozycji po polsku, opublikowanych w ciągu ostatniego ćwierćwiecza – jest dostępnych na portalu internetowym Centrum Badawczego Transformacji, Integracji i Globalizacji TIGER (www.tiger.edu.pl), którym kieruję w Akademii Leona Koźmińskiego. Umieściłem je tam, by innym ułatwić studia, ale też i po to, by pokazać, jaki był wtedy mój sposób rozumowania. I dzisiaj, z perspektywy historycznej, jak widać, te poglądy łatwo się bronią.

Podsumowując, w latach 1994-97 kontynuowano słuszne posunięcia z czasów "terapii szokowej" oraz reform lat 80., ale jednocześnie wprowadzano cały szereg niezbędnych zmian. Polityka gospodarcza to trudna sztuka gry ciągłością i zmianą. Zmienialiśmy instrumenty, zreformowaliśmy cele, przetasowaliśmy sekwencję działań. I przyniosło to zauważalne efekty. Produkcja rosła coraz szybciej, a ceny coraz wolniej. Inaczej niż to było przedtem, a

także potem, co w szczególności warto podkreślić. Wskutek pomyślnej realizacji "Strategii dla Polski" tempo wzrostu PKB na mieszkańca sięgnęło w II kwartale 1997 roku aż 7,5 procent. W ciągu minionego ćwierćwiecza tak wiele nie było ani nigdy przedtem, ani nigdy potem.

W 1997 roku do władzy powróciła Unia Wolności, czyli ośrodek ideologiczny, który zadecydował o obliczu pierwszych lat transformacji.

G. W. K.: Przy dużej emocjonalności politycznej polskiego społeczeństwa niejako naturalne jest wychylanie się wahadła raz w lewo, raz w prawo od centrum. Społeczeństwo było już dosyć znuzone rządami tzw. lewicowymi, zwłaszcza, że niektóre z posunięć w tamtym okresie niekoniecznie jawiły się jako takie znowu lewicowe; czasami były pragmatyczne, czasami rzeczywiście niedostatecznie lewicowe.

O przesunięciu się sympatii w prawo od centrum przesądziła także część procesów pozaekonomicznych, jak sposób sprawowania władzy, niewłaściwe traktowanie zasad partnerstwa publicznego oraz pewne incydentalne zjawiska. Nie ulega też wątpliwości, że do rozgrywki politycznej i propagandowej bezwzględnie wykorzystano dopust boży, jakim była powódź w 1997 roku. Zły styl był charakterystyczną cechą ówczesnego dyskursu politycznego. Dlatego też, będąc bezpartyjnym fachowcem pełniącym obowiązki wicepremiera i ministra finansów Rzeczypospolitej, na własne życzenie odszedłem z rządu na przedwiośniu 1997 roku, by nie wikać się w toczące się boje przedwyborcze. Nie gram w tej klasie.

Zrobiwszy swoje z polityki się wycofałem i jeszcze w maju, mając na myśli wybory w Wielkiej Brytanii, napisałem do tygodnika „Polityka” esej zatytułowany znamienne: „Przegrać wybory”. To był mój głos, bardzo poważne ostrzeżenie dla formacji SLD-owskiej, wciąż wtedy rządzącej w Polsce, że jeśli dalej w ten sposób będzie dyskutować między sobą i ze społeczeństwem o sprawach dłań fundamentalnych, ono się od niej odwróci. I to pomimo tego, że gospodarka była w znakomitej kondycji. Także się stało.

Od tamtego czasu u władzy było kilka różnych formacji, zresztą także Pan – na krótko – otrzymał drugą szansę koordynowania polskiej gospodarki. Do jakiego punktu nas to wszystko zaprowadziło?

G. W. K.: Jesteśmy gospodarką rynkową, choć nie w takim stopniu społeczną, w jakim warto byłoby i moglibyśmy być, gdyby linia „Strategii dla Polski” była kontynuowana. Społecznej gospodarki rynkowej nie buduje się w cztery lata; czternaście może nie wystarczyć, a może potrzeba i czterdziestu. To, że w Polsce wyszło tak, jak wyszło, jest skutkiem walki politycznej, która przerzucała się na priorytety gospodarcze i sposoby uprawiania polityki gospodarczej. W efekcie mamy dzisiaj taką hybrydę, system trochę dziwny, żeby nie powiedzieć dziwaczny, z pewnymi elementami neoliberalnymi, ale i niektórymi elementami podobnymi do rozwiązań spotykanych w krajach skandynawskich. Choć nie jesteśmy ani najbardziej efektywni, ani najbardziej konkurencyjni, ani najbardziej „społeczni”, to i tak uważam, że te dwadzieścia lat polskiej transformacji jest pewnym sukcesem – „pewnym”, gdyż mógłby on być większy. Tak jak przedstawiłem to w listopadzie 2007 roku na Kongresie Ekonomistów Polskich (zob. artykuł http://www.tiger.edu.pl/aktualnosci/gwk_EKONOMISTA_No6_2007.pdf), można mówić o „sukcesie na 2/3”.

Przy poprawnym zdefiniowaniu celów rozwoju i oparciu strategii społeczno-gospodarczej na poprawnej teorii mogliśmy być już bardziej „do przodu”. Tak jeśli chodzi o poziom konkurencyjności polskich firm, jak i standard życia polskich rodzin. Wielce szkoda

niewykorzystanego czasu i nienajlepiej zdyskontowanych szans minionych dwóch dekad. Jeśli szukać odpowiedzialnych intelektualnie i politycznie za ten stan rzeczy, to w przytłaczającej większości uplasują się oni po neoliberalnej stronie politycznego i intelektualnego spektrum, ale również część lewicowej myśli politycznej i praktycznych decyzji politycznych nie jest tutaj bez winy.

- W obecnym rządzie dominującą rolę odgrywa Platforma Obywatelska, którą można uznać za spadkobiercę neoliberalnego KLD. Czy w obecnie realizowanej polityce gospodarczej i społecznej nadal można dostrzec wpływy tej doktryny, czy też jej kompromitację uznali nawet jej niegdysiejsi apologety?

G. W. K.: I tym razem okazuje się, że stare idee wolno umierają. A i gra interesów swoje robi. Nie dziw przeto, że wciąż tak silny jest w polskiej polityce gospodarczej, zwłaszcza w jej aspektach finansowych, tak fiskalnych po stronie rządu, jak i pieniężnych po stronie NBP, nurt neoliberalny. Teraz – cóż za paradoks! – może on być nawet relatywnie silniejszy w Polsce niż w USA czy ogólnie na Zachodzie. Apologety neoliberalizmu, tak w polityce, jak i w jej propagandowym zapleczu w mediach i części środowiska nauk społecznych, bynajmniej nie zwijają zagli, tylko próbują weń łapać inaczej wiejące wiatry i – a w tym są dobrzy – znowu wyjść na swoje. Krzyczy więc złodziej, "łapaj złodzieja!", podpalacze zatrudniają się w straży pożarnej, a sprawcy neoliberalnych błędów i ich wierni uczniowie są zapracowani na froncie wyjaśniania, jak doszło do obecnego światowego kryzysu finansowego i gospodarczego, choć przecież dla każdego światłego człowieka jest oczywiste, że spowodowała go neoliberalna doktryna ekonomiczna i także praktyka polityczna.

W Polsce – podobnie jak w latach "schładzania bez sensu", 1998-2001, kiedy to tempo wzrostu PKB nadwiślańscy neoliberalowie sprowadzili z 7,5 do 0,2 procent – już drastycznie spada dynamika produkcji i narasta bezrobocie. Rząd, nie mogąc się wyrwać ze spuścizny neoliberalnego myślenia, popełnia serię błędów i miast ożywiać nieortodoksyjnymi instrumentami popyt, co czynią nawet USA i Wielka Brytania, brnie irracjonalnie ścieżką pogłębiania dekoniunktury. Jeszcze dwa lata temu dochód narodowy rósł o ponad 7 procent, wkrótce skala przyrostu spadnie poniżej 3 procent. Oczywiście, mizerne skutki takiej polityki będą tłumaczone "światowym kryzysem", podczas gdy mamy znowu do czynienia z kryzysem polityki gospodarczej. *Déjà vu...*

- W "Wędrującym świecie" zawarł Pan własną koncepcję polityki rozwoju. Proszę pokrótce o niej opowiedzieć. Jaki kompleks działań powinni podjąć nasi decydenci, by wprowadzić Polskę na ścieżkę trwałego rozwoju społeczno-gospodarczego?

G. W. K.: Cóż, i tak nie podejmą, co już widać. A to z przyczyn zasygnalizowanych wcześniej. A przecież można by utrzymać na długą metę tempo wzrostu powyżej 5 procent rocznie, zwiększać zatrudnienie, poprawiać systematycznie warunki życiowe ludności poprzez poprawę konkurencyjności przedsiębiorstw i wzrost wydajności pracy. W tym celu trzeba właściwie zdefiniować cele makroekonomiczne i społeczne, a przecież nie może ich zastępować "deficyt budżetu nie większy niż 18 miliardów złotych"! Budżet i jego saldo to nie cel polityki, to jeden z wielu stojących do dyspozycji instrumentów. I tego też neoliberalizm nie chce (bo mu się nie oplaca) pojąć.

Strategię dla Polski na następne kilkanaście, kilkadziesiąt lat trzeba oprzeć na koincydencji teorii rozwoju i nowym pragmatyzmie, które to koncepcje rozwijam w "Wędrującym świecie". W szczególności długofalowy i zrównoważony rozwój społeczno-gospodarczy nie będzie możliwy bez zweryfikowaniu pewnych wartości przyświecających formułowaniu celów, bez rekonstrukcji instytucji w kierunku szerszego stosowania reguł gry

właściwych społecznej gospodarce rynkowej, bez nieortodoksyjnej zmiany instrumentów polityki gospodarczej umożliwiającej skuteczny interwencjonizm. Konkretnie, strategia taka opierać się winna na czterech zintegrowanych – a jak, wyjaśnia to właśnie koincydencji teoria rozwoju – filarach: szybki wzrost, sprawiedliwy podział, korzystna integracja, skuteczne państwo.

W Polsce może być dużo lepiej. I to dla zdecydowanej większości. Niestety, będzie tylko nieco lepiej. I to dla mniejszości. Tak długo, jak długo neoliberalne doktryny i właściwy temu nurtowi dogmatyzm nie będą wykorzenione z praktyki gospodarczej. A usuwanie tego schorzenie i jego następstw zajmie nam jeszcze trochę czasu. Najważniejsze, że wiadomo już jak to robić.

Dziękuję za rozmowę.